

Świąteczne wnioski z lechickiej wioski

1 kwietnia 2020

I wydarzenia przedświąteczne, i ostatnie sondaże, i przedświąteczne rytuały (wiadomo, powszechne sprzątanie i zakupy), i atmosfera samych świąt są jak lustro, w którym przeglądają się Polacy. Właśnie wtedy można zobaczyć, jacy jesteśmy jako społeczeństwo. Choć oczywiście droga od obserwacji i wrażeń do uogólnień wymaga raczej psychologicznej i socjologicznej pedanterii.



Zobaczmy to jednak w nieco wykrzywionym zwierciadle.

ŚWIĄTECZNE SPRZĄTANIE

Wzorcowy Polak ukazuje swoje oblicze nie tyle przez odświętne deklaracje, uroczyste gesty, wzniosłe obrzędy, włącznie z tymi politycznymi i ideologicznymi, ile przez swój styl życia na co dzień i przez rytm swego życia, określony cykl życiowy. A przypomnijmy, już Reymont w powieści „Chłopi” dosadnie ukazał, jak bardzo cyklicznie funkcjonuje życie społeczności i jednostek – w korelacji z astronomiczno-klimatycznym cyklem przyrody. Rządzi nami między innymi cykliczny przekładaniec powszedniości (codzienności) i odświętności, mocno skorelowany

z przeplotem fasady i zaplecza; o czym swego czasu pisał Stanisław Ossowski.

W naszym kraju mamy na szczęście za sobą rewolucję mydła – i raczej już nie spotkamy osobników, którzy kąpią się, ba, myją tylko raz w roku. Ale daje do myślenia ten dziwny zbiorowy amok sprzątania właśnie na święta (przy wyraźnym zaniedbaniu tego obowiązku na co dzień), tudzież dość rozpowszechnione przekonanie, że obrządek przedświątecznych porządków spokrewniony z nerwicą natręctw jest świadectwem... religijności. Zastanawiająca jest ta korelacja: im większy bałagan, zaniedbanie, czasem nawet niechlujstwo na co dzień, tym większa gorliwość pucowania i picowania od święta. Oraz druga: im śliczniej wysprzątano i przyozdobiono mieszkanko, a nawet obejście na święta, tym większa jest trudność z porządkami po świętach, gdy dekoracje z ozdoby przeistaczają się w coś w rodzaju śmietnika, biją w oczy wizerunkiem opuszczonego, porzuconego lunaparku.

Myślałby ktoś, że ten przedświąteczny ZRYW POWSTAŃCZY wściekłych gospodyń domowych i przerażonych mężów lub synów o nastawieniu dezenterów i dekowników, wziętych jednak na ten czas w kamasze, ma w sobie coś z KATHARSIS? Oto nas samych zaskakuje (przez nagłą zmianę optyki) nieporządek i zapuszczenie, z jakim się zżyliśmy i zrosiliśmy, irytuje stan nagle odkryty, nawet wkurza (jest i mocniejsze słowo), ale AKCJA SPRZĄTANIE działa terapeutycznie i higienicznie jak strumień sprężonego powietrza. Okazujemy się zdolni do ułańskiej mobilizacji (z letargu lub z codziennego kieratu prosto na koń do zwycięskiej bitwy), a śliczny wygląd i świąteczny zapach odnowionego mieszkanka (kiedy smakowicie łączy się aromat z kuchni z zapachem odsmradzaczy, past, kadzidełek) przynosi nam taką ulgę jak, nie przymierzając, orgazm po czasie wyposzczenia lub klinek z rana po wczorajszym przepiciu.

Jednak niezupełnie. W każdym razie nie u wszystkich. Owszem, większość „wyżyje się” w tym porządkowym amoku, ale spora

część z tej większości właśnie w tym wyczerpuje swoje siły, a najpóźniej w łącznym bilansie sprzątanía i MEGAZAKUPÓW. Świętują potem trochę nieprzytomni, oszołomieni, jakby wyłączeni i nieobecni, a jedynym czynnikiem podtrzymującym ich uczestnictwo w podniosłym posiedzeniu, zgromadzeniu rodzinnym jest czynność automatyczna i kompulsywna nazywana podniośle delektowaniem się rozkoszami stołu, zaś uwznioślana dodatkowo poszukiwaniem wymyślnych słów do banalnych komentarzy i pochwał dla mistrzyni kuchni. Żarłok lub osobnik zagłodzony podczas sprzątanía bez czasu na przekąskę lub biesiadnik sterroryzowany obowiązkiem przyjmowania poczęstunków sili się na pozę smakosza, konesera. Nieistniejącą lub mocno nadwyreżoną wspólnotę zainteresowań, poglądów, upodobań, sympatii i spowodowany tą erozją więzi stan zakłopotania wspólnym wysiłkiem dobrze wychowanych ludzi zagadujemy wspólnotą stołu, michy. Rodzina Wigilią silna.

ŚWIĘTA – CZAS AWANTUR

Jakoś tak często zdarza się też, że wspólnota świątecznego wyczynu (podobnego do dawnych czynów produkcyjnych dla uczczenia świąt państwowych) nie tyle łączy – jako radość współdziałania, porównywalna ze wspólnym koncertowaniem czy śpiewaniem kolęd, ile skłóca, okazuje się potężnym ładunkiem wybuchowym. Zastępczo i na zasadzie kumulacji (jak w totku) eksplodują tłumione przez cały rok lub choćby ostatni tydzień pretensje, urazy, a jakakolwiek próba ustalenia podziału pracy, kolejności działań, skoordynowania wysiłków kończy się awanturą, nawet dziką. Nieraz ta utarczka w sprawie wytrzepania dywanów lub zwykłego wyniesienia śmieci okazuje się bolesną próbą, kto tu rządzi. A jeśli nawet wcześniej było słodko, to już sprzątamý kwaśno i gorzko, przy sprzątaníu bardzo siebie nie lubimy. I to wśród Polaków najbardziej niezawodny przykład działania reguły wzajemności – zupełnie inny niż w stosunkach pozytywnej kooperacji.

Tak, tak, drodzy rodacy: dość podobnie rządzymy (współrządzymy) jak sprzątamý w zespole. Nasze sejmy i

sejmiki, debaty publiczne i decyzje podejmowane w imieniu ogółu mają coś wspólnego z atmosferą i wzorcami wojny domowej rozgorzałej przy okazji domowych porządków.

KULTUROWA I GOSPODARCZA WYMOWA ŚWIĄTECZNYCH ZAKUPÓW

Świąteczne zakupy – to druga odsłona naszego oblicza.

Z jednej strony, jak wszyscy mieszkańcy „globalnej wioski” jesteśmy pod przemożnym naciskiem wszechogarniającej, osaczającej reklamy, promocji, wielkiej maszyny konsumpcji, która na czas świąt i przełomu roku przyśpiesza, dokręca śrubę.

Z drugiej strony, wiadomo też, że nawet w gospodarce deficytu (wtedy może – tym bardziej) Polak musiał udowodnić sobie i innym, na co go stać (choć nie stać), jaki ma gest, jaki jest zapobiegliwy (kiedy jak kiedy, ale na święta to szynkę wykopię spod ziemi). A jeśli nawet nie to go motywuje, to musi sobie odreagować dłuższy okres powściągliwości, nawet ascezy (czy to z niedostatku, czy z rozsądku) jednorazowym, kilkudniowym przepychem i obżarstwem. Jeśli nawet na co dzień od dawna wiadomo: „nie wchodź do sklepu głodny, bo wszystko wykupisz”, działa to tym bardziej w okresie świątecznym. Wszystko ładnie pachnie, świeci, błyszczy, wszystko kusi i smakuje na sam widok, na samą myśl. Wszystko zdaje się niezbędne – na święta. A tu jeszcze okazja goni okazję.

Wprawdzie w każdym społeczeństwie, nawet najbardziej zamożnym, więc wyzbytym kompleksów gołodupca lub nuworysza, a zarazem po mieszczańsku zrationalizowanym (komfort współmierny do potrzeb i do rzeczywistego stanu posiadania) nieunikniona jest dysproporcja między wydatkami na co dzień a wydatkami na święta. Ale już różnica między mieszczańskim a postszlacheckim czy pseudoszlacheckim wzorcem konsumpcji i świętowania jest widoczna pod innym względem: w skali marnotrawstwa. W kulturze, w której każdy, byle plebejusz czy lump, zgrywa wielkie panisko, świąteczność i odświętność wyraża się w

rekordach marnotrawstwa, zwłaszcza żywności. W tej samej kulturze kupuje się i spożywa się nie na miarę rzeczywistych potrzeb ani możliwości, lecz na miarę wyobrażeń o zbytku, wedle reguły, że na czas Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia chatka ma przeistoczyć się w dwór, pałac, domowy bar mleczny w wytworną jakoby restaurację.

ŚWIĄTECZNA HIPOKRYZJA

Wiele już powiedziano i napisano o świątecznej hipokryzji – w domach i w biurach czy innych skupiskach.

W mieszkaniach: pusty talerz dla – na szczęście abstrakcyjnego – wędrowca z gościńca czy samotnego nieszczęśnika. Taki uroczysty pokaz miłości bliźniego, troski o bliźnich, który nic nie kosztuje, a samopoczucie poprawia. Pustkę tego pustego talerza i pustkę tego ceremoniału szczególnie dziś uwypukla znany przypływ ciepłych uczuć wobec przybyszów i potencjalnych przybyszów. Niech no zapuka do chrześcijańskich drzwi i wtargnie do pokoju z wigilijną wieczerzą jakiś ciapaty lub zwęglony – powitamy go latającym talerzem.

I skubanie opłatka połączone z cmokaniem, wzajemnym obślinieniem przez ludzi, którzy dopiero co się pokłócili lub od dawna patrzeć na siebie nie mogą. Powiedzenie „pies ci mordę lizał” zyskuje tu nagle zupełnie inny sens.

Podczas mszy wszyscy przekazują sobie „znak pokoju”. Niezależnie od tego, jaki znak mieliby ochotę skierować do niektórych obecnych.

To samo, jeszcze bardziej, dotyczy biurowych „śledzików”, w których przymus formalnej życzliwości i składania sobie życzeń według rozdzielnika jak w gruppenseksie (każdy z każdym) jest jeszcze bardziej nasilony, bo hurtowy.

ZNAĆ PROPORCJĘ

Ten pamflet na świąteczną szopkę w mega skali (który i mnie

też dotyczy) oczywiście nie znaczy, że i same święta, i świąteczne zakupy, prezenty nie mają uroku, że świąteczne porządki nie są pożyteczne, że nie istnieją rodziny i grupki przyjaciół, których wspólne świętowanie jest autentyczne i spontaniczne, podszyte sympatią, przyjaźnią, miłością, a nie fałszem i przymusem obyczajowym. Jak ze wszystkim, tak i pod tym względem życie społeczne jest bardziej złożone.

Lecz tym bardziej fałszywy jest powtarzający się co roku, ale z coraz większym natręctwem i zakłamaniem właśnie, obrazek sielankowej radości, wzajemnej i powszechnej przymilności w kraju ponuraków, zazdrośników i narzekaczy, „uduchowienia”, narodowego zespolenia i czego tam jeszcze. Obrazek załatujący z daleka mamoną (handelek, handelek – natychmiast po Zaduszkach) oraz epidemiczną chorobą społeczną ogarniającą miliony symulantów. Zbiorowa symulacja przeżyć religijnych, powszechnej życzliwości, pojednania i wybaczenia, chęci wzniesienia się ponad własne przywary i słabości pozostaje... symulacją. Czasem jest może chęcią szczerą, ale taką, jak słomiany zapach alkoholika, który po świeżym odtruciu ślubuje poprawę, odmianę, moralną odnowę.

CO MA PIERNIK DO WIATRAKA?

To wszystko, co przypomniałem w powyższym pamflecie – nietakcie, poniekąd już wiadomo. Wiemy dobrze, że – z nielicznymi wyjątkami – właśnie tacy jesteśmy, w wielorakim dysonansie. W kontraście między funkcjonowaniem na co dzień, w życiu powszednim (rodzinnym, towarzyskim, sąsiedzkim) i w pracy a odświętną metamorfozą. W dysharmonii między banalną zwyczajnością lub bylejakością a wzniosłą fasadą. W tym sensie te złośliwości to żadne odkrycie, to jakieś zrządzenie jak zawracanie kijem Wisły.

Jednak inaczej spojrzymy na takie oczywistości (a poniekąd i przesadne uproszczenia), jeśli zastanowimy się nad tym, jaki jest związek między mentalną dwoistością mieszkańca Polski (Dr Jekyll i Mister Hyde na granicy powszedniości i odświętności)

a rozdzieleniem społeczeństwa, które ani pragmatycznie współdziałać nie potrafi ponad podziałami, we wspólnym nadrzędnym interesie mimo takiej konieczności, ani świętować czegokolwiek razem i zgodnie nie jest zdolne. Między rytualizmem świętowania i tęsknotą do zrekompensowania przysiębiającej codzienności mnożeniem świąt i obrzędów a dziwną nieudolnością, bezradnością w rozwiązywaniu konkretnych problemów i zadań. Między przecięciem wstęgi a naprawą kładki, mostu czy jezdni w tydzień po „oddaniu do użytku”. Wszak świętujemy co roku to samo i tak samo, lecz również co roku tak samo narzekamy na służbę zdrowia, dziurawe drogi boczne, smog, powtórki z powodzi w tych samych miejscach, PKP, biurokrację.

Takich rozdzwięków doświadczamy multum.

Między powabem elewacji frontowych a syfem i smrodem podwórek i klatek schodowych. Między parą w gwizdek (pompatyczne ceremonie, wyświechtane frazesy, nic nie warte ślubowania, zapowiedzi, fałszowanie hymnu znanego wszystkim tylko z jednej zwrotki, klękanie i mamrotanie pod nosem pacierzy i zdrowasiek) a konkretną i solidną (i nudną, w Polsce może być tylko nudna) robotą. Między rozmachem wydatków na pomniki, szyldy (i zmiany szyldów), na fontanny z wodotryskiem oraz świąteczne lampiony a węzłem w kieszeni w wydatkach na produktywne inwestycje, świadczenia społeczne i pomoc społeczną. Między cudownym entourage i znakomitą obsadą balów charytatywnych a ascezą wigilijnych zupek dla bezdomnych. Między codzienną obojętnością, znieczulicą na upośledzenie ludzi w potrzebie a wytryskiem – raz do roku – empatii i wielkoduszności w Owsiakowej Orkiestrze. Między blichтром reklamy kosmetyków, biżuterii, włoskich pantofelków dla Kopciuszka, ciuchów z Gucciego i Armaniego, lexusów już od 100 tysięcy złotych a powszechnością przyodziewku z ciucholandów. Między tym, ile kupiliśmy (także na kredyt) na święta, a tym, co zdołaliśmy zjeść i wydać oraz tym co powędrowało do śmietnika.

POLITYCZNY KONTEKST RYTUALIZMU

Narzekamy na jakość polskiej polityki, na format polskich polityków i politykierów? Na ignorancję i apatię polityczną połowy społeczeństwa? Z ostatnich sondaży w sprawie ustaw o sądownictwie: połowa nie wie, o co chodzi, ale jest za. Razi nas prymitywizm rządowej propagandy, a szokuje wielkie zrozumienie, nawet uznanie dla niej wśród „milczącej większości”? To przyjrzyjmy się i zastanówmy się, czego uczą polska szkoła, polski kościół i polska rodzina. Może dociekliwości, sztuki rozważania i dokonywania wyboru?

Wraz z „Dobrą Zmianą” legł w gruzach mit o wolnościowej naturze ogółu Polaków. Śmieszne okazuje się megalomańskie przeświadczenie, że Polak nie poniży się walką o kiełbasę (skądże, on się wychyla i podskakuje zawsze i wyłącznie dla najczystszych idei), że Polaka niczym się nie kupi, a gdy mu się coś narzuca, to się natychmiast buntuje i gotów jest do walki – bohaterskiej i męczeńskiej.

Zresztą, widocznym zamiarem dobrozmiannowego modelu edukacji szkolnej jest wyhodowanie takiego gatunku Polaka, który o nic nie dba poza godnością narodową, honorem (Polak jest honorny, to znaczy łatwo unosi się honorem) i gotowością, by dać świadectwo czynem zbrojnym i słusznym zgonem. To mieszanka pobożnych życzeń i zakłamania. Wszak obojętność i uległość wobec rządów autorytarnych wpaja się rodakom nie tylko bogoojczyźnianą tromtadracją i odmóżdżającą propagandą; jest kupowana właśnie „kiełbasą”. Chleb i igrzyska mają tu iść w parze. Mylą się jednak prorocy i ideolodzy Dobrej Zmiany, jeśli myślą, iż nowohodowlany Polak stanie za nimi murem w potrzebie, zerwie się do czynu, gdy Dobra Zmiana się zachwieje.

Nie. „Prawdziwy” Polak nie jest żadnym bohaterem. On nawet nie jest indywidualistą (choć mentalność miewa bardzo ksobną, a nie prospołeczną). Więc tym bardziej nie jest – jak chcieliby go widzieć romantyczni dysydenci, jak może nawet sam chciałby

w to wierzyć – miłośnikiem wolności. Jest to konformista w każdym calu i na każdym kroku. I w swojej kulturze pracy (robić tyle i tak, ile i jak „wystarczy”), i w swoim świętowaniu (świętować zawsze tak samo jak wszyscy), i w swoim stosunku do ustroju, stylu rządów oraz zmieniających się sił rządzących. Raz rządzą jedni, a raz drudzy; raz jest tak, a raz siak. Mnie tam wszystko jedno, byle barszczyku z uszkami i prezentów pod choinką nie zabrakło. Gdyby zabrakło – o, to byłby dopiero wstrząs. Może nawet wybuchłoby powstanie.

Autorstwo: Mirosław Karwat

Zdjęcie: [Mateusz War](#) (CC BY-SA 3.0)

Źródło: [Strajk.eu](#)